

jak rzucić wszystko
i wyjechać do



radek mamon



Jak rzucić wszystko i wyjechać do AZJI

Radek Mamoń

Intro

Choć minęło prawie ćwierć wieku, pamiętam całkiem wyraźnie moje przygotowania do pierwszej samotnej podróży. Do termosu wlałem przesłodzoną herbatę, tradycyjnie dodając plasterki cytryny. Zrobiłem kanapki z dżemem i starannie zawinąłem je w papier. Znając siebie pewnie znalazłem jeszcze coś słodkiego. Wszystko ułożyłem w niewielkim plecaku, na którego spodzie znajdował się koc. W pewnym momencie podróży chciałem usiąść gdzieś na trawie nie rzucając się w niczyje oczy i w spokoju zjeść posiłek. Poza tym w każdej chwili mogło przecież zrobić się trochę chłodniej, a nie wiedziałem dokładnie, kiedy wrócę. Mając dwa złote w kieszeni wyruszyłem na przystanek znajdujący się może dwadzieścia metrów od domu.

Spokojnie czekałem na autobus i znając siebie pewnie jadłem już coś słodkiego. Przechodzący ludzie pytali mnie drwiąco, gdzie się wybieram i czy na pewno wszystko ze sobą zabrałem. Nie rozumiałem, dlaczego to jest dla nich takie dziwne – przecież mam pięć lat, potrafię o siebie zadbać i to jest odpowiedni moment, aby odkrywać świat. Nie wsiadłem do pierwszego autobusu. Poczekalem godzinę na przyjazd kolejnego, ale tym razem też mnie coś powstrzymało. Bałem się, że kierowca, tak jak przechodnie, nie potraktuje mnie poważnie, odmówi mi wejścia do autobusu, albo w ogóle nie zwróci uwagi na machanie ręką małego człowieka. W głowie pojawiła się też myśl, że być może dorośli mieli rację i nie powinienem podróżować sam. Co, jeśli pojechałbym w złym kierunku albo zabrakłoby mi pieniędzy na powrót? Rozczarowany wróciłem do domu. Pierwsza podróż solo się nie udała.

Pamiętam, że w tamtym miesiącu podjąłem jeszcze kilka podobnych prób. Każda zakończyła się niepowodzeniem i narastającymi wątpliwościami. Widać wtedy nie było mi dane pokonanie kilometrowej trasy na drugi koniec wioski. Choć byłem tam nie raz, miałem doświadczyć czegoś zupełnie nowego.

Ta historia przypominała mi się, gdy zacząłem myśleć o Azji na poważnie. Jako dziecko pewnie nie wyobrażałem sobie nawet, że kiedyś będę podróżować tak jak dzisiaj, po krajach na końcu świata, nie wiedząc konkretnie, co wydarzy się następnego dnia. Myślę w zupełnie innych kategoriach dystansów. W ostatniej chwili zmieniam plan i bez zawahania idę przed siebie. Kiedyś przejazd na drugi koniec miejscowości wydawał się być przygodą. Teraz pokonując tysiące kilometrów, czuję się jakby nie istniał inny sposób na życie.

Start

Dziś dołączam do grupy współczesnych nomadów. Porzuciłem wszystkie zobowiązania. W rękę trzymam bilet w jedną stronę. Nie wiem, kiedy wrócę. Może jest to trochę onieśmielające, ale z drugiej strony chyba najpiękniejsze w tym całym ruchu. Prawdziwa podróż bez scenariusza. Bez nadmiernego planowania, które wymuszało dotychczasowe życie. Chcę zrobić to choć raz. Choć przez kilka miesięcy. Z energią pionierów pokonywać kolejne granice, te które tkwią również we mnie. O niczym nie marzę. Działam. To eksperyment, zobaczymy jakie będą jego rezultaty.

Podczas wcześniejszych podróży wyęźlałem słuch i wzrok na nowo poznanych ludzi, którzy opowiadali mi o swoich bardziej lub mniej konkretnych planach mających nie mieć końca wędrówek. Chciałem sobie pozwolić na odważny krok, który zbliżyłby mnie do odkrywania świata bez presji czasu. Nie byłem jednak pewien, czy nie jestem z natury żółwiem, który nie potrafi rozstać się ze swoim całym światem noszonym ze sobą.

Powrót do swojego miasta, do pracy, domu to zawsze powrót do jakiejś ostoji. Nawet gdy przez kilka dni czy tygodni nie do końca wiemy co się wydarzy, zawsze na końcu tej drogi znajdziemy się tam, gdzie czujemy się najbezpieczniej. Porzucenie tego wszystkiego wydawało się być dość radykalnym posunięciem. Z pozoru nie wyglądam na taką osobę, ale jeśli mam skoczyć, to tylko z najwyższego punktu. Jeśli gram, to o wszystko. Nie boję się zaryzykować, choć czasem nie zdaje sobie sprawy z konsekwencji. Nie potrafię tkwić w miejscu przez dłuższy czas. Wiercę się, nerwowo przebieram nogami. Nawet jeśli nigdzie nie wyjeżdżam muszę wiedzieć, że wkrótce znajdę się w nowym otoczeniu, z nowymi wyzwaniami, że coś mnie zainspiruje i pchnie do życia.

Intrygowała mnie radość tych, którzy nie patrząc zanadto naprzód, podróżowali przez dwa miesiące, pół roku, dwanaście tygodni, rok. Niektórzy nawet stracili już poczucie czasu. Dwudziestoparoletni Niemiec traktował Azję Południowo-Wschodnią jak swój dom, a do Europy wracał tylko na kilka miesięcy, żeby szybko zarobić na życie i powrócić. Młoda Brytyjka nawet nie pamiętała dokładnej daty przylotu do Bangkoku. Żyła bez zobowiązań wydając przesyłane przez rodziców przelewy. Oczekiwanie na kolejną imprezę na plaży i przylot kolegów z okolic Liverpoolu odmierzały jej czas. Prawie trzydziestoletni Polak chciał dotrzeć przez Mjanmę, Bangladesz, Indie aż do Nepalu. Pomimo przygotowanej trasy wyprawy, nie wiedział dokładnie, ile będzie trwać jego przygoda. Był to jego sposób na tę część życia.

Gdzie spotkać takie osoby? W najtańszych hostelach, w wypełnionych zapachem kadzidłem świątyniach, w lokalnych barach, gdzie przesiadują głównie miejscowi. Zawsze czekałem, aż ktoś pierwszy do mnie podejdzie. Wołałem obserwować. Obawiałem się, że po kilku minutach pogawędki nastąpi kurtuazyjne pożegnanie, bo coś bardziej interesującego zadziało się kilka kroków dalej. Miałem wrażenie, że większość tych osób, jeździ z miejsca na miejsce dla czystej rozrywki, nie nadając temu znaczenia, trochę bezrefleksyjnie. Może się mylę, w końcu nigdy nie pozwoliłem sobie na głębszą rozmowę. Może po prostu im wtedy zazdrościłem.

Zawsze tkwiłem gdzieś myślami i fizycznością pomiędzy Europą, Bliskim Wschodem, a północną Afryką. Udało mi się w końcu przełamać i zaufać tym wszystkim, którzy pakują plecak i ruszają bez zbędnych analiz do Azji Południowo-Wschodniej. Przez trzy tygodnie w Tajlandii i Kambodży poszukiwałem ukrytego tutaj magnetyzmu, który przyciąga masy ludzi ze wszystkich stron świata. To istny fenomen, którego opisu nie oddadzą żadne książki lub przewodniki. Dopiero przyjazd w te strony pozwolił mi zrozumieć, o co chodzi tym wszystkim ludziom. To dziwne wołanie już mnie nie opuściło, a jakiś czas temu stało się na tyle silne by zagłuszyć jakiegokolwiek wątpliwości.

Po trzech latach odszedłem z pracy. Chęć podróżowania była jednym z powodów. Potrzebowałem resetu, odpoczynku, spojrzenia na życie z dystansu, czasu na zagojenie ran powstałych w bezsensownych potyczkach. Musiałem poskładać swój charakter poszargany pozornym opuszczaniem stref komfortu i wystawianiem się na ciągłe próby. Mam problem z funkcjonowaniem w odizolowanym świecie, pełnym sztucznych reguł, fasadowych wartości, płytkiej nowomowy, małych rozmów. Chyba do niego nie pasuję, na pewno nie teraz. Karta z numerem pracownika, którą trzeba odbić na bramce, nie otwiera świata rzeczywistego, a ten chcę poznawać, właśnie teraz.

Nie mogę powiedzieć, że to doświadczenie zupełnie niczego mnie nie nauczyło i nie pozwoliło mi zgromadzić pewnej sumy potrzebnej do swobodnego podróżowania przez jakiś czas. Ja oddałem część siebie, otrzymując coś innego w zamian. Typowa transakcja. Miała swój początek, teraz ma swój koniec.

Decyzja o odejściu z pracy nie była wcale taka trudna. Najtrudniejszą rzeczą było opuszczenie mojego mieszkania. Po dziesięciu latach wyprowadziłem się z mojego czarnobiałego, uporządkowanego świata i pozwoliłem innym, aby w nim zamieszkali. Teraz wiem, że tkwiłem w toksycznym związku, który nie pozwalał mi na dłuższą rozłąkę, hamował

mnie i powstrzymywał od podjęcia odważniejszych kroków. Tak naprawdę, patrząc na organizowany od kilku dni plecak podręczny i ten jedenastokilogramowy, przekonuje się iloma niepotrzebnymi przedmiotami się otaczałem. Niepotrzebnymi – potrzebnymi jedynie czasami, na specjale okazje, na poprawę nastroju, tymi ładnymi lub w ogólnym przekonaniu koniecznymi. Spakowałem się w dwa plecaki, które bez problemu mogę unieść, a mam wrażenie, że zabrałem cały swój dobytek. Mam paszport, pieniądze, komputer, aparat, kilka ubrań, buty górskie, niewielką apteczkę, kąpielówki, czas i wolność. Może rzeczywiście jestem żółwiem, ale takim, który „swoim całym światem” zaczął definiować coś innego.

Gdy tylko zacząłem opowiadać o moim nowym planie na życie, a właściwie jego niesamowitym i pozbawionym konkretów zarysie, moje otoczenie podzieliło się na trzy grupy. Pierwsza, najmniejsza liczebnie, odradzała wyjazd i czasami bojkotowała mój wybór. Słyszałem najczęściej głosy krytyki, braku racjonalnego podejścia do życia. Pamiętali oni bowiem czasy, w których podróżowanie nie było tak oczywistą sprawą. Bano się marzyć. Internet nie podsuwał wszelakich odpowiedzi i propozycji tanich noclegów, aplikacje nie prowadziły tułaczy jak za rękę, a świat pozostawał wielki i nieznany. Nie chcieli słuchać o miejscach, które zamierzam odwiedzić. Co raz pojawiały się głośne hasła dotyczące konieczności budowania kariery, zbierania środków na emeryturę zamiast wydawania pieniędzy na podróże i inne trące prozą stwierdzenia, które chciałem jak najszybciej wyprzeć z pamięci. Na początku czułem, że ktoś konsekwentnie podcina mi skrzydła, ale kilka dni temu zrozumiałem prawdziwe intencje. Dla kogoś chyba muszę być ważny.

Druga grupa, złożona głównie z osób w moim wieku, entuzjastycznie biła brawo, choć nie wszyscy wykazywali typowe cechy amatorów dłuższych i dalszych wyjazdów. W większości byli to jednak ludzie, którzy podobnie jak ja, chcą czegoś więcej, szukają wyzwań, nie patrzą na życie linearnie. Przyznawali, że sami planują zrobić coś podobnego w przyszłości i biorą to za pewnik. To oni dodawali mi odwagi podłamanej komentarzami pełnymi wątpliwościami. To z nimi odliczałem dni do wyjazdu i odliczam czas do kolejnego spotkania.

Rozmowy z przedstawicielami trzeciej grupy były najtrudniejsze. Chętnie towarzyszyliby mi w podróży, ale... Pojawiał się zawsze jakiś powód albo kilka powodów – praca, mieszkanie, związek, rodzina, kredyt, obawa przed nieznanym i brakiem komfortu. Zdaję sobie z tego sprawę. Nie uważam, że zawsze można mieć wszystko. Każdy indywidualnie układa listę priorytetów. Przecież też musiałem z czegoś zrezygnować. Powszechnie twierdzi się, że nie warto porzucać marzeń. Mam nadzieję, że oni tylko odłożyli ich realizację w czasie.

Nigdy nie zapomnę jednak reakcji znajomej, która na pomysł podróży z biletem w jedną stronę zareagowała stwierdzeniem, iż „żyję jej życiem”. Te trzy słowa stały się dla mnie anty mottem, przestrogą, alarmem. Z ust młodej kobiety wybrzmiały katastroficznie, tak jakby przez cały czas swojego istnienia nie miała wpływu na to, co się z nią wydarzy. Będę robić wszystko, żebym sam nie musiał wypowiadać podobnych słów w przyszłości. Jeśli wtedy miałem jakiegokolwiek wątpliwości związane z wyjazdem to całkowicie odeszły.

Nie wszyscy muszą żyć tak samo, według przyjętych norm i czyichś oczekiwań – po studiach iść do pracy i zostać w niej przez kilkadziesiąt lat, w międzyczasie założyć rodzinę. Jesteśmy różni. Sam dopiero poznaję siebie i swoje życie. Ta rzeka ma wiele rozwidleń. Tak naprawdę trudno wskazać jej główny nurt. Ciągłe zmienia kierunek, wielokrotnie meandruje, łączy się z innymi i na nowo dzieli. Kto wie, co wydarzy się za kilka miesięcy, nie mówiąc już o kilku latach. Jestem szalenie ciekaw, czym zaskoczy mnie najbliższa przyszłość.

Nie twierdzą, że wszystko pójdzie gładko, że nie spotkam się z nieprzyjemnościami, albo w pewnym momencie nie zatęsknię za tymi wszystkimi elementami, które składały się na dotychczasową normalność. Za pizzą zamówioną przez aplikację, leniwymi spotkaniami ze znajomymi przy butelce rumu, za możliwością włożenia czystej koszuli wyciągniętej prosto z szafy. Nie wiem na ile sprawdzę się organizacyjnie, a właściwie czy będę potrafił się przełamać i żyć bez konkretnego harmonogramu przez dłużej.

Stojąc w miejscu pograżyłem się w dziwnym limbo ograniczonym czterema ścianami i czarnym lustrem, które odbija uproszczony obraz świata. Uruchamiam wewnętrzny tryb „podróżowania” by wypuszczony na wolność móc odnaleźć się w rzeczywistości. Rozglądam się za sensem. Poznaje siebie w nowych miejscach. Czy odkryję, że dłuższe wyjazdy nie są dla mnie i wolę jednak wyruszać na krócej, ale częściej? Włączam nowe funkcje. Rozpaczynam zatem azjatycki eksperyment. Nie mogę się doczekać rezultatów, jednocześnie chcąc, żeby trwał jak najdłużej.

To ja u progu wyjazdu. Konfrontacja z tłem, z oczekiwaniami, z obawami i z samym sobą. Czekałem na ten moment. Wydawał mi się oczywistością, oddalonym jedynie przez jakieś życiowe powinności. Ku mojemu zaskoczeniu, dla większości osób z bliższego i dalszego grona byłem pierwszą osobą, która postawiła taki krok. Nigdy wcześniej nie spotkali się z marzycielami podróży, tęskniącymi do miesięcy wypełnionych nieznanymi smakami, architekturą, zwyczajami codzienności. Wydawali się być jedynie opowieścią, mglistą wizją życia, na które mogą sobie pozwolić tylko bogacze i posiadacze nadludzkich cech. Dla mnie

jawili się całkowicie wyraźnie, realnie. Co dzień spotykałem się z nimi wspominając nasze rozmowy na odległych krańcach świata.

Nigdy nie uważałem, że moje przygody zasługują na szczególną uwagę większej grupy odbiorców. Przecież nie robię niczego szczególnego, jestem jednym z wielu. Nie udaję się w miejsca nieodkryte przez ludzkość, nie przejeżdżam samotnie przez szerokie pustkowia, zamiast kompasu noszę ze sobą telefon. Choć zawsze opisywałem moje przeżycia, zapiski trafiały jedynie w ręce najbliższych i na wirtualne strony, które rzadko ktokolwiek wertuje. Przed wyjazdem padały pytania, czy zamierzam opublikować książkę o swojej podróży. Odpowiadałem krótko. Nie. Nie wiem, jak się potoczy, czy będę chciał usiąść, odizolować się i w spokoju wyrazić słowami to, co widzę i czuję. Zresztą chyba każde miejsce na tej planecie zostało już przedstawione na papierowych kartkach. Czy w ogóle moja historia będzie wystarczająco interesująca. Powiem jeszcze raz, przecież nie robię niczego szczególnego, jestem jednym z wielu.

Powtarzanie tego zdania pozwoliło mi zrozumieć, że dla spotkanych osób nie sama podróż jest czymś nieznanym i nieosiągalnym, a zwykli ludzie pozbawieni imion i nazwisk, którzy się jej podejmują. Nie często albo w ogóle nie mają szansy na rozmowę z tymi tułaczami, a bardzo chcieliby ich poznać. Zrozumieć, co spowodowało, że rzucili wszystko i wyjechali na wiele miesięcy. To przytrafiało się również i mnie. Częściej od pytań o plan trasy, słyszałem te dotyczące moich inspiracji, być może ukrytych powodów.

Chcę ich przedstawić. Jeszcze ich nie poznałem, ale pewnie nie raz natknę się na osoby podróżujące już od dłuższego czasu. Nie martwię się o to, biorę to za pewnik. Zastanawiam się jedynie, czy znajdziemy czas na dłuższą rozmowę, szczerze wyznania, a przede wszystkim, czy odważę się zadawać pytania. Być może uda mi się przekonać tych, którzy zwykle nie otwierają atlasu, że nie jesteśmy jakimiś dziwakami, odrealnionymi i pozbawionymi instynktu przetrwania marzycielami. Widziałem już przymrużone spojrzenia nasycone współczującym wyrazem i wiem, co znaczą. Jesteśmy ludźmi z krwi i kości, bez obaw, wiemy co robimy.

Pójdę tym tropem. W portretach innych być może ujrzę także cząstkę swoich doświadczeń. Czy mamy podobne przesłanki? Gdzie tkwił punkt zapalny? Skąd pojawiła się iskra?

1.

Hanoi, Wietnam

Nie jestem pewien co dzieje się wokół mnie. Trafiłem do gęstwiny ulicznego chaosu i przeraźliwego dźwięku klaksonów wszelkiego rodzaju jednośladow i samochodów. Unik. Unik. Chyba w końcu znalazłem się w Hanoi. Odsypiam zarwaną noc z nadzieją, że łagodnie wejść w wietnamski czas. Szukam punktów odniesienia, miejsc w których mógłbym coś zjeść, sensu ulicznego ruchu i znaczenia tonowych dźwięków.

Im dalej od francuskiej dzielnicy, obraz staje się bliższy współczesności. Mam problem z odnalezieniem odpowiednich kadrów do zdjęć. Na oparach snu poruszam się bezwolnie trafiając w końcu nad jezioro Hoan Kiem i do świątyni Ngoc Son. To pierwszy stereotypowy obraz jaki widzę. Tym razem architektura przypomina o obecności Chińczyków. Nie spieszę się nigdzie i pozwalam sobie błędzić.

Uważnie stawiam kroki, bo chodniki nie są przeznaczone dla pieszych. To przestrzeń dla rozwoju niewielkich biznesów. Tutaj znajduje się płatny parking dla skuterów, tam kobiety smażą bananowe naleśniki, kilka kroków dalej można kupić papierosy na sztuki, przed skrzyżowaniem zjemy mięsne szaszłyki za kilkaset dongów, a tuż za nim napijemy się soku z trzciny cukrowej. W wąskich uliczkach pomiędzy budynkami działają kawiarnie i punkty masażu. Nie ma sensu w wynajmowaniu pomieszczenia, gdy ulice należą do wszystkich.

Kolejne miejsca zbliżają mnie do wietnamskiej kultury. Zaczynam dostrzegać detale i przypominać sobie historię poznaną przed laty. W porośniętej roślinnością Świątyni Literatury odcinam się od zgiełku miasta będąc w jego centrum. Nad Jeziorem Zachodnim pozwalam sobie zostać trochę dłużej. Wyłaniający się obraz ukazuje urbanistyczny kontrast. Nad nieremontowanymi od dawna wąskimi kamienicami, pokrytymi starą dachówką, a najczęściej kawałkami blachy, wzbijają się wysokie budowle dając świadectwo nowoczesności i rozwoju. Przeszłość i teraźniejszość nie znalazły porozumienia. Odwracam zatem wzrok w drugą stronę. Pośród palm i kolorowych krzewów, tuż nad powierzchnią wody unosi się Pagoda Tran Quoc. Zapach kadzideł oraz dziękczynnych kwiatów jednych może wabić, a drugich odstraszać. Choć zwiedzanie kompleksu nie trwa długo, znajduję sobie ciche miejsce, by wraz z zachodzącym słońcem móc obserwować zmieniające się barwy fasady. Od tak, nagle wyspa rozjaśnia. Tworzy swoją wierną kopię w lustrze zasypiającego jeziora. Kolejny z pierwszych intensywnych dni minął.

